



Rafał Bartolewski
WILL ODWAŻNY
Kłątwa wilczej krwi

BookEdit

Rafał Bartolewski

WILL ODWAŻNY
Klątwa wilczej krwi



BookEdit

Copyright © Rafał Bartolewski, 2024

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracje na okładce: © freepik.pl/vvoenny, freepik.pl/studioworkstock

Redakcja: Magdalena Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-23-9

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

GILDIA DETEKTYWISTYCZNA

Witam, młodzieńcze. Opiekun czeka na końcu korytarza, ostatnie drzwi po lewej.

– Pani wybaczy, ale nie zdążyłem się nawet przedstawić. Nazywam się...

– Wiem, jak się nazywasz – przerwała mu kobieta zajmująca miejsce, które chyba miało być portiernią. – Niechże idzie, jeżeli chce tę pracę.

– Skąd pani wie...? Dobrze...

Chłopak spojrział jeszcze raz na recepcjonistkę, która jednak nie zwracała już na niego uwagi, gdyż pochłonięta była czytaniem dziwnej gazety. Nie wiadomo dlaczego, trzymała ją do góry nogami.

Ruszył bardzo długim i zniszczonym korytarzem, który wyglądał, jakby nikt nie remontował go przynajmniej od pół wieku. Od drewnianej podłogi odchodziły deski, a kolor lakieru zatracił się w nich dawno temu. Idąc, miał wrażenie, że jego kroki są tak głośne, jakby pomieszczenie specjalnie je odbijało, wyraźnie informując, że ktoś się zbliża. Na ścianie pomiędzy portretów tajemniczych mężczyzn zwisała zielona tapeta. Zatrzymał się na chwilę, by nieco bliżej przyjrzeć się tym dziwnym obrazom.

Ciekawe – pomyślał. Wszyscy mężczyźni byli tak samo ubrani i uczesani, a mimo to wyglądali, jakby każdy pochodził z innej epoki. Nosili długie, czarne szaty, w lewej ręce trzymali srebrny zegarek na łańcuszku, palcem prawej dłoni wskazując na jego tarczę. Co dziwniejsze, każdy z zegarków wskazywał północ lub południe. Ciężko było to stwierdzić dokładnie, gdyż tło na wszystkich obrazach było szare, bez widoku na pozycję słońca. Pod każdą ramą znajdowała się mała tabliczka. Rzucił okiem na kilka: „Sokole Oko”, „Grzmiąca Pięść”, „Szczur”, „Łopata”. Popatrzył jeszcze przez chwilę i ruszył dalej. Przeszedł około dwudziestu kroków, aż dotarł do ostatnich drzwi po lewej stronie. Bardzo zdziwiło go to, że w tym długim korytarzu oprócz portretów znajdowały się tylko jedne drzwi – te, przed którymi właśnie stał. Były duże, masywne, wyglądały jak drzwi wejściowe z ulicy, a nie jak standardowe wewnętrzne. Na samym środku umieszczono małą mosiężną tabliczkę z wybitymi na niej literami: „PUK PUK PUK”.

– Wygląda to jak instrukcja – powiedział do siebie. Wziął głęboki wdech i zastukał.

– Proszę, wejść – odpowiedział głos zza drzwi.

Chłopak ponownie głęboko odetchnął i wszedł do środka. Wewnątrz, w samym rogu przy oknie, znajdowało się duże, dębowe biurko, za którym siedział siwowłosy mężczyzna. Wyglądał na dość silnego i wysportowanego.

– Dzień dobry, nazywam się... – zaczął chłopak.

– Wiem, jak się nazywasz – przerwał mężczyzna. – Może zaczniemy od tego, po co tutaj przyszedłeś.

– Szukam pracy, w Czterech Wieżach trudno o pracę dla detektywa.

– A więc jesteś detektywem?

– Nie do końca, właśnie skończyłem studia.

– Cudownie – uśmiechnął się mężczyzna. – Nazywam się Opiekun i zajmuję się tym miejscem. Kobieta, którą poznałeś przy wejściu, to pani Gazetka.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem.

– Usiądź, proszę.

Chłopak usiadł przed dużym biurkiem, za którym Opiekun kończył nabijać świeżym tytoniem drewnianą fajkę. Odpalił ją i porządnie zaciągnął się dymem. Wypuścił z ust dużą chmurę dymu, po czym się uśmiechnął.

– Powiedz, co wiesz o naszej, nazwijmy to, działalności?

– Tak naprawdę to nie za wiele. Wczoraj siedziałem w gospodzie Pod Żelaznym Kogutem i przeglądałem gazetę w poszukiwaniu ofert pracy. Na ostatniej stronie zobaczyłem ogłoszenie: „Gildia Detektywistyczna poszukuje pracowników, ulica Tajemnicza 12”. Postanowiłem sprawdzić. Przy wejściu chciałem zapytać o pracę, ale pani, która tam siedzi, kazała mi przyjść tutaj. Nie bardzo rozumiem, o co chodzi z tymi ksywkami, zacznę więc od początku. Nazywam się...

– Zapomnij o tym, jak się nazywałeś – przerwał mu Opiekun poważnym i stanowczym tonem. – Od chwili, gdy przekroczyłeś próg gildii, nazywasz się Will. Od ciebie zależy, czy tak pozostanie, czy nie. Chłopak spojrział na Opiekuna, nie bardzo rozumiejąc, co ten chce mu przekazać.

– Nie martw się, wkrótce zrozumiesz. Przynajmniej mam taką nadzieję. – Mężczyzna zza biurka uśmiechnął się. – Proszę, weź to – podał chłopakowi kawałek kartki – i udaj się z tym do pani Gazetki. No i jak to się mówi: powodzenia! Myślę, że się jeszcze zobaczymy. A teraz żegnam.

– Opiekun wsadził fajkę w zęby i nie zwracając już uwagi na chłopaka, zaczął przeglądać papiery leżące na biurku.

– Do widzenia i dziękuję... chyba – powiedział chłopak i wyszedł na korytarz. Za drzwiami zamyślił się przez chwilę, po czym spojrzał na kartkę, którą dostał przed sekundą. Na papierze było napisane: „Nowicjusz Will, wydać instrukcję i niezbędne wyposażenie”.

Nagle jego uwagę przykuł donośny kobiecy głos z końca korytarza.

– Ej, ty! Długo zamierzasz tam tak stać? Nie mam całego dnia! – Pani Gazetka patrzyła na zmieszanego i zawstydzonego chłopaka.

Wziął głęboki wdech i ruszył w stronę portierni. Gdy podszedł do kobiety, usłyszał rzucone od niechcienia: „No nareszcie”.

– Dostałem to. – Podał kobiecie kartkę od Opiekuna.

– No dobrze, panie Willu, proszę, oto pańska gazeta, strój i pieniądze. – Pani Gazetka wręczyła chłopakowi starą, pożółkłą gazetę, złożone w kostkę ubranie i skórzaną sakiewkę. Will spojrzał na kobietę, nie do końca pojmując, co się właśnie wydarzyło. – No dobrze – powiedziała. – Proszę przeczytać artykuł trzeci, ale dokładnie co dwunaste słowo. I niech się pan nie spóźni. – Kobieta wstała, podeszła do wyjścia, otworzyła drzwi i najgrzeczniej, jak potrafiła, pokazała mu ulicę.

Chłopak wrócił do gospody Pod Żelaznym Kogutem we wschodniej części Czterech Wież, gdzie wynajmował pokój. Na miejscu przypomniał sobie o sakwie z pieniędzmi. Otworzył ją i wysypał zawartość na stół. Zamurowało go, gdy zobaczył dwanaście lśniących złotych monet w samym środku pokoju niewartego nawet małego okruszka odłupanego z jednej z nich. Usiadł na łóżku i zastanowił się, czy kiedykolwiek w swoim życiu miał do czynienia z takim majątkiem. Był biedny, widywał

nieraz pieniądze, które zawierały jedną setną srebra w monecie, jednak dwunastu szczerozłotych monet nie widział jeszcze nigdy. Wpatrywał się w nie, gdy nagle wrócił mu rozum, zamroczony chwilowo blaskiem bogactwa. Schował monety do sakwy i sięgnął po gazetę leżącą w kącie na materacu, tuż obok ubrania. Usiadł przy stole, otworzył ją i spojrzał na trzeci artykuł. Odznaczył co dwunaste słowo – tak jak kazała mu pani Gazetka. Przepisał słowa na kartkę i przeczytał na głos: „Jutro. Zachodnie. Wybrzeże. Dwunasta”.

PODRÓŻ

Była godzina jedenasta pięćdziesiąt. Will stał w porcie na zachodnim wybrzeżu Czterech Wież, wpatrując się w statek właśnie wpływający do portu. Rozglądał się dookoła i zastanawiał, czego ma się spodziewać. Statek przycumował, jednak załoga nie zeszła na ląd. Wyglądało to raczej, jakby od razu po przybyciu do portu szykowali się do powtórnego wyjścia w morze. Gdy minęło pięć minut, do burty podszedł mężczyzna. Chłopak przyglądał mu się przez chwilę i dostrzegł, że jest ubrany tak samo jak ludzie z portretów, które widział wczoraj w siedzibie gildii, i tak samo jak Will.

– Hej, ty tam! Wsiadasz czy zostajesz?! – krzyknął mężczyzna ze statku. – Zaraz odpływamy, a z tego, co wyczytałem w porannej gazecie, mam cię stąd dzisiaj odebrać.

Chłopak ruszył w stronę statku. Mężczyzna rzucił mu drabinę linową, po której ten wspiął się na pokład.

– Witaj, nazywam się Kompas, jestem tu, żeby zabrać cię na twoją pierwszą misję.

– Witam, jestem Will, jak sądzę. – Chłopak powiedział to, nie będąc do końca przekonany, czy tak powinien się przedstawić, ale

od wczorajszej wizyty w gildii coraz więcej nieznanym osobom tak się do niego zwraca.

– Chyba tak – powiedział na głos sam do siebie, wyglądając na zamysłonego.

– Nie przejmuj się. Oczywiście, że tak się nazywasz, przynajmniej na razie. Chodźmy na dół, do naszej kajuty, zaparzę kawę i wszystko ci opowiem. – Kompas dał znak kapitanowi, który zarządził rozwinięcie żagli i wypłynięcie w morze.

Will i Kompas zeszli pod pokład.

– Oto nasza kajuta. Rozgość się – oznajmił mężczyzna, po czym napełnił mały żeliwny czajnik wodą. Postawił go na piecyku, w którym palił się już ogień, i wyciągnął ze skórzanej torby woreczek z czarnym proszkiem. Nasypał kawę do dwóch kubków i usiadł przy stoliku.

– Usiądź, proszę – powiedział do chłopaka.

– Powiedziałeś, że nazywasz się Kompas. Poznałem już panią Gazetkę i Opiekuna, a do mnie każdy zwracał się Will. Nawet nie pozwolono mi się przedstawić. – Spojrzał na mężczyznę niepewnie.

– Kompas to mój pseudonim, wcześniej nosiłem twój.

Wstał, ściągnął z siebie długi, czarny płaszcz, odwiesił go na oparcie krzesła i sięgnął do środkowej kieszeni, z której wyciągnął drewnianą fajkę oraz tytoń. Usiadł z powrotem, odpalił i zaciągnął się, po czym wypuścił dużą chmurę dymu. Spojrzał na chłopaka.

– No dobra, zacznijmy od początku. Jak już zauważyłeś, każdy w gildii nosi jakiś pseudonim. Pierwsza zasada brzmi: żadnych nazwisk. Każdy nowy nazywa się tak samo jak ty teraz, czyli Will. Jest tak, ponieważ nie wiadomo, czy w ogóle zostaniesz pełnoprawnym członkiem

i pracownikiem gildii, a co najważniejsze, czy dożyjesz tej chwili. – Kompas wstał od stołu, zdjął czajnik z pieca i zalał gotującą się wodą czarny proszek. Proszę. – Podał chłopakowi parującą napój.

– Co to jest? – Will spojrział na mężczyznę zdziwiony.

– To, mój drogi przyjacielu, jest kawa. – Wziął kubek i znów usiadł na krześle.

Chłopak wykrzywił usta, gdy pierwszy raz w życiu skosztował czarnego napoju.

– Gorzkie.

– Kawa to niezwykle wynalazek, który odkryłem na jednej z moich misji. Jest to napój pozwalający uwolnić umysł z kajdan snu. Niesamowita sprawa. Dostałem to od plemienia, które nie śpi od stu lat, ale o tym opowiem ci następnym razem. Jak już mówiłem, żeby zostać pracownikiem gildii i otrzymać nową ksywkę oraz pełnoprawne członkostwo, trzeba wykonać swoją pierwszą misję i oczywiście przeżyć.

– Zdarzały się przypadki, że komuś się nie powiodło?

– Lepiej by zabrzmiało pytanie: Ilu osobom powiodło się przez ostatnie dziesięć lat? Odpowiedziałbym, że nikomu, a ze dwudziestu próbowało, tak jak ty teraz.

– Co się z nimi stało?

– Nie żyją. Nie powiem ci, jak zginęli, ponieważ i tak byś w to nie uwierzył. Wróćmy do tego, co mówiłem wcześniej. Na wybór nowego imienia wpływa wszystko, co robisz podczas pierwszej misji. Tak jest łatwiej. Nie nawiązujemy bliższych relacji na wypadek, gdyby któryś z nas miał zginąć. Przejdźmy dalej. Co wiesz o działalności gildii?

– W zasadzie to nic.

Kompas opowiadał o podstawowych zasadach panujących w gildii. Zajęło to dosyć czasu, aby obaj zdążyli opróżnić swoje kubki, pozostawiając na dnie czarny osad.

– Najważniejsze, co powinieneś zrobić... – przerwał na chwilę.

– Słyszysz?

– Co? – spytał chłopak.

– To łopot skrzydeł. Zbliży się w stronę statku. Cholera to ONA, znalazła mnie wcześniej, niż myślałem.

– Ona?

– Posłuchaj teraz uważnie, chłopcze. Nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć, czym się zajmujemy. Schowaj się gdzieś i nie wychodź, jeśli chcesz żyć. Masz to. – Dał chłopakowi jeden z mieczy, które miał schowane pod łóżkiem. – Jeżeli nie dam rady i zejdziesz tu, obetnij jej łeb. To twoja jedyna szansa.

– Co mam zrobić?! O czym ty mówisz?! – pytał z przerażeniem Will, ale Kompas wybiegł już z kajuty z dużym dwuręcznym mieczem w dłoni.

Will został sam, w lewej dłoni trzymając krótki miecz.

– Co tu jest grane? Jaka ona? Komu mam obciąć łeb? – pytał przerażony sam siebie.

Zatrzymał się na samym środku kajuty i przysłuchiwał się wyraźnym odgłosem walki dochodzącym z pokładu. Od czasu do czasu dało się słyszeć wystrzał z kapitańskiej strzelby. Will stał tak jeszcze moment, po czym ruszył w stronę drzwi. Złapał za kłamkę, wziął głęboki wdech i wyszedł.

Na korytarzu odgłosy walki stały się wyraźniejsze. Chłopak szedł korytarzem z dłonią kurczowo zaciśniętą na rękojeści miecza. Kiedy doszedł

do schodów, usłyszał przeraźliwy ryk, jakby połączenie odgłosów orła z niedźwiedziem. Wystraszony powoli wchodził na stopnie, gdzie na końcu znalazł martwego mężczyznę – kogoś z załogi. Trup miał wydłubane oczy i rozplątane gardło, jakby trafił pod gigantyczne szpony.

Will przelknął ślinę i zerknął na pokład. Wszędzie było pełno krwi. Wyglądało to, jakby ktoś miał zamiar szorować pokład i rozlał właśnie całe wiadro czerwonej wody z mydlinami. Odgłosy walki dochodziły zza drewnianego kontenera, który stał przed nim i zasłaniał mu widok. Postanowił zajrzeć, co się tam dzieje, więc podszedł bliżej i zerknął za róg. To, co zobaczył, nie śniło mu się nawet w najgorszych snach. Kompas leżał na plecach, a nad nim wisiała w powietrzu istota tak ohydna, że Will zastanawiał się, czy to faktycznie nie jakiś koszmarny sen. Spojrzał na tę postać jeszcze raz, ale wyglądała tak samo paskudnie. Miała pomarszczoną, podobną do ludzkiej twarz, ciało obrosnięte piórami jak u orła, dłonie, które właśnie odbierały tlen Kompasowi, były stare i pomarszczone, a paznokcie miały długość palców dorosłego mężczyzny i wyglądały na ostre niczym brzytwy. Zamiast nóg stwór posiadał szpony orła, wielkie i potężne. Will dostrzegł długi miecz leżący w połowie drogi dzielącej go od bestii.

Co tu się, do cholery, dzieje? – myślał.

– Zabiłeś moje dwie siostry, śmiertelniku – przemówiła bestia. – Odciałeś im głowy i spaliłeś na stosie. Teraz ja rozerwę cię na strzępy.

– Tobie też odetnę łeb, więdźmo! – krzyknęła Kompas resztkami tchu.

Bestia się zaśmiała.

– Czas umierać, śmiertelniku. Zapłacisz za śmierć moich sióstr. – Wiedźma zaczęła powoli pochylać się nad mężczyznę.

Will, nie zastanawiając się ani chwili dłużej, rzucił miecz na drugą stronę pokładu i wybiegł w stronę walczących. Gdy wiedźma usłyszała odgłos uderzającego o pokład miecza, natychmiast podniosła głowę i obróciła ją w stronę, z której dochodził dźwięk. Will parł do przodu, ile tylko miał sił w nogach, w połowie drogi schylając się po miecz swojego nowego towarzysza. Pochwycił go i biegł dalej. Gdy wiedźma usłyszała, że ktoś zbliża się w jej stronę i jest już bardzo blisko, odwróciła głowę, ale było za późno. Zobaczyła tylko twarz chłopaka i poczuła miecz przecinający jej szyję. Głowa spadła tuż obok głowy Kompasasa, jej ciało zaś runęło na niego.

– Zdejmij ze mnie to paskudztwo – szepnął powalony mężczyzna, gdyż jego gardło nie było jeszcze gotowe na okrzyki radości.

Will ostrożnie zepchnął ciało wiedźmy z mężczyzny.

– Co to za okropna istota? – spytał chłopak.

Kompas spojrzał na niego. Wstał, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł twarz z zielonej krwi. Will był tak zakłopotany tym, co się przed chwilą stało, że nawet nie dostrzegł koloru cieczy, którą ścierał z twarzy.

– Chłopcze – szepnął mężczyzna. – Chłopcze!

Will nagle wrócił do teraźniejszości i spojrzał na swego towarzysza.

– Nie czas, aby rozmyślać o tym, co tu zobaczyłeś. Opowiem ci wszystko w swoim czasie. To jeszcze nie koniec, bo musimy jak najszybciej spalić to ścierwo, nim zdąży powrócić z zaświatów. Sprawdź, co z kapitanem i załogą. Szybko, musimy się spieszyć! – powiedział Kompas.

Chłopak zaczął przeszukiwać pokład. Wszędzie było pełno krwi, a co kilka kroków znajdował martwe ciała członków załogi. Nagle usłyszał kroki dochodzące zza pleców. Obrócił się nerwowo.

– Nie bój się, chłopcze – powiedział głos wynurzający się z cienia.

– Żyje pan, kapitanie! Kompas kazał mi odnaleźć pana i załogę. Powiedział, że mamy mało czasu.

– Paru ocalałych członków załogi schowało się pod pokładem, przyprowadź ich do nas, szybko.

Will zbiegł do ładowni, gdzie znalazł trzech ludzi. Przekazał im, że bestia nie żyje i że kapitan ich wzywa, więc cała czwórka pobiegła na górę. Zastali tam kapitana i Kompas wlokących ciało więdźmy w stronę łodzi ratunkowych.

– Panowie, to jeszcze nie koniec – powiedział kapitan. – Pomóżcie nam wrzucić to ścierwo do łodzi.

– Potrzebna nam oliwa, natychmiast! – Kompas zwrócił się do wszystkich.

Dwoje ludzi pobiegło na tylną część statku, by po chwili wrócić, tocząc całą beczkę oliwy. Kompas wraz z kapitanem oblali ciało więdźmy, załoga natomiast spuściła łódź do wody. Dowódca statku nalał do butelki trochę łatwopalnego płynu, wyciągnął dużą, bawełnianą chustę z kieszeni płaszcza i zatkał nią otwór. Podpalił zwisający kawałek materiału, po czym rzucił butelkę do odpływającej łódki. Ta rozbiła się, wpadając do łodzi i stawiając ją w ogniu wraz z ciałem w środku.

– Chodź ze mną, chłopcze – powiedział Kompas i skierował się w stronę dziobu statku, dźwigając duży skórzany worek z czymś rozmiarów arbuza w środku. Zatrzymał się, spojrzął na nowicjusza, który zerkał na niego, mając w oczach nie strach, lecz niepewność. – Posłuchaj, chłopcze, jestem ci wdzięczny. Większość ludzi uciekłaby, widząc więdźmę, wielu nawet by nie wyściubiło nosa zza drzwi kajuty.

– To była wiedźma? Nie wyglądała na wiedźmę, o jakich słyszy się w bajkach – przerwał Will.

– Tak – odpowiedział starszy stażem kolega. – Tyle że to nie była zwykła wiedźma. Jak zauważyłeś, nie była podobna do człowieka. To była harpia wiedźma. Jedna z trzech siostr, ostatnia i najstarsza.

– Ostatnia?

– Tak. Zanim przybyłem po ciebie do Czterech Wież, byłem na misji. Zabiłem dwie harpie wiedźmy, ale trzecia mi umknęła. Wiedziałem, że będzie chciała się zemścić, lecz nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko.

– Gdzie mogły się uchować takie kreatury w dzisiejszych czasach?

– Widzisz, chłopcze, jak to powiedziałeś, w dzisiejszych czasach ludzie stali się ślepi na to, czego nie chcą widzieć lub co ich przeraża. Postaram się ci wytłumaczyć pokrótce, co się tutaj dzieje i czego częścią się stałeś. Na świecie żyje wiele różnych stworzeń: potworów, demonów, kreatur i podejrzanych istot. Ludzie stworzyli sobie swój świat i odizolowali się od tego środowiska. Powstały tajne organizacje chroniące ludzi od świata zewnętrznego. Takie jak na przykład nasza Gildia Detektywistyczna. Jak myślisz, czym się zajmujemy?

Will spojrział na Kompasę. Nie odezwał się, ale jego mina sama zadawała pytanie: „Czy nie powinienem o czymś wiedzieć?”

– Otóż, gdy któreś z tych stworzeń zaczyna atakować ludzi, my wkraczamy do akcji i zajmujemy się problemem. W większych miastach rzadko zdarzają się ataki, ale wsie, małe miasteczka, wyspy czy odległe kraje to już co innego. Dlatego mamy pracę. Moim zadaniem jest wprowadzenie nowego członka, lecz żebym mógł cię poinformować

o wszystkich sprawach, o których powinienś wiedzieć, najpierw musisz wykonać swoją pierwszą misję i zostać członkiem gildii.

– Jak mam to zrobić bez żadnego szkolenia? Nawet nie wiem, jaką misję mam do wykonania.

– W tym tkwi cały szkopuł, że jeżeli wykonasz pierwszą misję bez szkolenia, i co ważniejsze przeżyjesz, to wtedy wiadomo, że masz potencjał i nadajesz się do tej pracy. Spójrz na to z naszej strony. Gdybyśmy poświęcili czas na twoje szkolenie, a ty od razu zginiesz, stracilibyśmy tylko czas.

– Nie brzmi to zbyt zachęcająco.

– Wierzę, że sobie poradzisz, w końcu dzisiaj wykazałeś się wielką odwagą – powiedział Kompas, wyjmując z kieszeni spodni poskładaną stronę gazety i wręczając ją chłopakowi.

– Co to jest?

– Twoja gazeta. Ciebie dotyczy ta strona. – Wskazał palcem. – Przeczytaj uważnie. Jutro powinniśmy być na miejscu.

– Jedno mnie zastanawia...

– Tak?

– Spaliliśmy ciało tej kreatury, ale nie spostrzegłem w łódce jej głowy. Co się z nią stało?

– Nic. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Mam ją nadal przy sobie. Jest w tym worku.

Will cofnął się o krok.

– Co? Dlaczego?

– Głowa harpiej więdźmy to przydatna kopalnia wiedzy.

– Nie rozumiem.

– Za życia czerpała wiedzę ze świata zmarłych, więc wie, jak stamtąd powrócić. Bez ciała jest niegroźna, ale my możemy się od niej dużo dowiedzieć.

– Co zrobi, jak wróci? – spytał Will, nie do końca wierząc, że zadał to pytanie.

– Tego nie wiem, ale z pewnością się zdenerwuje, gdy spostrzeże, że nie może wezwać swojego ciała. Będzie ubaw, mówię ci. A teraz idź się prześpij i przeczytaj gazetę, dowiesz się trochę o twojej pierwszej misji. – Kompas odwrócił się i poszedł porozmawiać z kapitanem.

Will nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Postał jeszcze chwilę, rozmyślając, po czym udał się do kajuty.

SREBRZYSTA POLANA

Był słoneczny poranek, gdy Will wyszedł na pokład. Rozejrzał się i zauważył Kompasę ćmiącego fajkę na dziobie statku. Chciał się z nim przywitać, jednak jego wzrok przykuło coś innego, niesamowitego. Przed nimi rozpościerało się miasteczko, i to nie byle jakie, w całości bowiem zbudowane było ze srebra. Jego obraz w pełnym słońcu na długo pozostawał w pamięci tych, którzy je widzieli.

– Co to za miejsce? – spytał Will, nie mogąc wyjść z podziwu.

– To jest, drogi przyjacielu, cel naszej wyprawy. Srebrzysta Polana.

– Srebrzysta Polana? Wygląda jak raj.

– Pozostałość po raju. Tu kończy się i rozpoczyna cel naszej wyprawy.

– Nie rozumiem. Jak to kończy się i rozpoczyna?

– Widzisz, tu nasze drogi się rozchodzą. Nie na zawsze, mam nadzieję. Moim zadaniem było cię tu doprowadzić, więc dla mnie ta wyprawa się kończy, lecz dla ciebie dopiero zaczyna. Tutaj musisz wykonać swoją pierwszą misję i musisz to zrobić sam. Przeczytałeś już gazetę?

– Gazetę? A tak, gazetę. Przez wczorajsze emocje zupełnie o niej zapomniałem. Zaraz ją przeczytam.

– Zrobisz to później. Przygotowałem dla ciebie kufer. To prezent ode mnie z okazji pierwszej misji. Znajdziesz tam kilka przydatnych rzeczy, w tym głowę wiedźmy, ale nie paraduj z nią przed ludźmi, bo mogą to źle odebrać.

– Po cholerę mi głowa tej wiedźmy? Co niby miałbym z nią zrobić?

– Przyda ci się. Może być użyteczna. Zostawiłem ci list i instrukcję, w jaki sposób, że tak to ujmę, jej użyć. Zameldujesz się w gospodzie Srebrzysty Kociołek, masz tam opłacony pokój na czas pobytu. Potem udaj się do ratusza i porozmawiaj z miejscowym radnym, nazywa się Jan Srebrnoręki i to on poprosił o naszą pomoc. Powie ci, w czym problem. Powodzenia! – rzekł Kompas i uściśnął dłoń chłopaka.

Statek przybił do portu. Will z lądu patrzył, jak od razu odpływa, nie zatrzymując się ani chwili dłużej, niż to konieczne. Zastanawiał się, czy w ogóle powinien tu być... Czy to na pewno dla niego? Odetchnął głęboko, zarzucił torbę na plecy, złapał za kufer, który otrzymał od byłego już towarzysza, i ruszył przed siebie. Z każdym krokiem w głąb Srebrzystej Polany krajobraz się zmieniał. Mijał coraz więcej zniszczonych domów, rozebranych prawie do fundamentów. Było to zrozumiałe, ponieważ były zbudowane ze srebra, więc znajdowali się ochotnicy, którzy zabierali sobie po srebrnej cegielce. Przeszedł kilka głównych uliczek, a na końcu jednej z nich dostrzegł szyld ze zwisającym srebrnym kociołkiem tuż nad wejściem do budynku.

To pewnie o tym miejscu mówił Kompas – pomyślał chłopak i wszedł do środka.

W gospodzie nie było zbyt wielu klientów, a w zasadzie to poza starszym facetem śpiącym za barem i młodą kelnerką przecierającą stoły nie było nikogo. Dziewczyna spostrzegła go i podeszła, mówiąc:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, panienko – odpowiedział po chwili Will, trochę zawstydzony urodą dziewczyny. – Nazywam się... – Zastanowił się przez chwilę, co powiedzieć, aż w końcu rzucił: – Nazywam się Will.

– Witaj, Will – odpowiedziała, próbując ukryć rumieńce na twarzy. – Ja jestem Julia. Pewnie przybywasz z dalekiego kraju, bo jeszcze nigdy nie słyszałam tak dziwnego imienia.

– To dosyć skomplikowane... – Kolor jego twarzy upodobił się do barwy wiśni.

Przyglądał się jeszcze przez chwilę dziewczynie zaskoczony jej urodą. Julia była piękną i zgrabną młodą kobietą, miała długie, złote włosy zaplecione w warkocz sięgający jej do bioder. Jej twarz była jasna i promienna, jakby oświetlało ją wiosenne słońce.

– Przepraszam – wykrztusił w końcu. – Mam tu rezerwację.

– Rezerwacjami zajmuje się mój ojciec. Chodź za mną.

Podeszli do baru, za którym spał starszy mężczyzna. Był brodaty, lekko posiwiasty i nie należał do najchudszych. Od razu rzuciło się w oczy, że lubi sobie podjąć i nie wylewa zawartości kufla za kołnierz. Dziewczyna stuknęła dwa razy w srebrny dzwoneczek stojący na dębowym blacie baru i choć był mały, to zabrzmiał tak głośno, że śpiący mężczyzna zerwał się na równe nogi.

– Tak... tak... jestem... O co chodzi? – powiedział sam do siebie jeszcze na w półprzytomny. Po chwili otworzył szerzej oczy i dostrzegł przed sobą Julię oraz młodego chłopaka w czarnym płaszczu i z fryzurą lekko zaczesaną na bok.

– Słucham pana – oznajmił najgodniej, jak tylko potrafi człowiek, który dzień wcześniej był główną atrakcją na festiwalu piwa.

– Ojcie, to jest Will – wtrąciła dziewczyna, delikatnie uśmiechając się pod nosem, tak by nikt nie zauważył. – Twierdzi, że ma u nas rezerwację.

– Rezerwację? Tak, pamiętam. Więc jest pan z tej... no, z tej gildii.

– Owszem. Jestem członkiem Gildii Detektywistycznej i przybywam tu służbowo – powiedział to najdostojniej, jak tylko potrafił, chciał bowiem zrobić wrażenie na Julii.

– Gdzie moje maniere? Nazywam się Robert Piwosz, syn słynnego Franka Piwosza, który robił najlepsze piwo na zachodnim wybrzeżu Dwóch Kufli. Córkę, zaprowadź, proszę, naszego gościa do pokoju, niech się rozpakuje. Ja tymczasem udam się do ratusza i poinformuję Jana o twoim przybyciu. Teraz się odśwież i prześpij, przyjdę po ciebie wieczorem i zaprowadzę na spotkanie z radnym.

– Chciałbym się z nim spotkać jak najszybciej – odparł Will.

– W tej chwili to niemożliwe, zbyt duże zamieszanie jest w ratuszu po wczorajszej pełni.

– A co ma pełnia do mojego spotkania z radnym?

– Wszystkiego się pan dowie wieczorem. A teraz proszę się udać do pokoju i dać odpocząć umysłowi, bo będzie panu niezbędny. Pytania zostawmy dla osób, które będą potrafiły na nie odpowiedzieć. – Obszedł bar i podszedł do drzwi. Zdjął z wieszaka długi, zielony płaszcz i wyszedł na zewnątrz.

– Chodź ze mną na górę, pokażę ci twój pokój – rzekła Julia i skierowała się w stronę schodów.

Will poszedł za nią, a wchodząc po schodach, zastanawiał się, co za zamieszanie powstało w ratuszu i czemu ojciec Julii kazał odpoczywać jego umysłowi.

– To tutaj – wyrwała go z zamyślenia. Dziewczyna wyciągnęła z szafy świeżą pościel oraz świece i położyła je na stoliku przy oknie. – Gdybyś czegoś potrzebował, będę na dole.

– Wiesz może, po co mnie tu ściągnięto?

– W Srebrnej Polanie już nie jest tak jak kiedyś. Ludzie nie są bezpieczni. Dzieją się u nas straszne rzeczy.

– Straszne rzeczy? – spytał Will. – O czym mówisz?

– Wybacz, ja nie mogę...

Julia wyszła z pokoju, nie mówiąc nic więcej, i zamknęła za sobą drzwi. Will zastanawiał się, o jakich strasznych rzeczach mogła mówić dziewczyna i nagle przypomniał sobie o gazecie, którą otrzymał od Kompassa. Może ona chociaż trochę naświetli mu sprawę. Poszperał w rzeczach, aż znalazł złożoną stronę gazety w środkowej kieszeni swego płaszcza. Usiadł na łóżku i rozłożył trzecią stronę, gdzie trafił na interesujący artykuł. Zresztą trudno byłoby go przeoczyć, ponieważ jego tytuł był podkreślony dwoma grubymi liniami, a obok widniał napis: „Tutaj” oraz ślad kubka o dziwnym kształcie. Przypomniał sobie, że widział już taki kubek i to dosyć niedawno, w portierni pani Gazetki. Z przeczytanego artykułu dowiedział się o dziwnych zniknięciach ludzi na polach srebra w Srebrzystej Polanie i o tonącym w długach mieście, które samo wytwarza srebro. Położył się na łóżku i zastanawiał, jak miasto, które praktycznie całe jest zbudowane ze srebra, nie licząc dębowych dodatków takich jak drzwi, okna czy meble, może tonąć w długach. Co to za tajemnicze zniknięcia i co chciała powiedzieć Julia? W głowie zaczęły mu się kłębić różne myśli. Tak się zmęczył tą intensywną pracą mózgu, że zasnął.

TAJEMNICA

Will otworzył oczy. Była noc, a on stał sam pośrodku polany. Nie widział nic poza nieprzeniknioną czernią. Ruszył przed siebie z dziwnym poczuciem, że nie jest sam, chociaż nikogo nie widział. Gdy doszedł do końca polany, znalazł się przed wielkim, starym lasem, a za plecami usłyszał kroki. Odwrócił się w stronę polany powoli, cofając się w głąb drzew. Dostrzegł parę małych czerwonych oczu, które z każdym krokiem stawały się coraz większe i bardziej widoczne. Zaczynały przypominać płomienie. Gdy istota, do której należały, doszła na skraj lasu, oczom Willa ukazała się sylwetka czarniejsza od nocy. Kształtem zaczęła przypominać wielkiego, potężnego zwierza, wilka bądź niedźwiedzia, który zamiast ciała ma najczarniejszy cień. Chłopak znieruchomiał, nie odważył się drgnąć choćby palcem u stopy. Stał tak jakiś czas, gdy nagle bestia ruszyła w jego stronę. Will zaczął uciekać przed siebie, w głąb lasu, najszybciej, jak tylko potrafił. Biegł slalomem pomiędzy drzewami, objijając się co chwilę o ich pnie. Bestia podążała za nim, doganiając go bardzo szybko.

Gdy chłopak dobiegł do krawędzi urwiska, przystanął, patrząc w dół, gdzie zobaczył tylko ciemność. W tej samej chwili poczuł na plecach

oddech. Bez chwili zastanowienia skoczył w przepaść, jednak cień zdążył chwycić go za nogę. Leciał w dół, czując ucisk pod prawym kolanem. Leciał tak przez jakiś czas, aż dojrzał na dole małe światełko, które w szybkim tempie zaczęło się rozszerzać. Wpadając w światło, jednocześnie usiadł na łóżku z krzykiem, otwierając oczy.

Był cały mokry i przerażony. Obrócił głowę i spojrzał na stojącą koło jego łóżka Julię z lampką w dłoni.

– Nic ci nie jest? – spytała zmartwiona.

– To był tylko sen... – Odetchnął z ulgą, wypowiadając te słowa.

– Co ci się śniło?

– Nie chcę tego rozpamiętywać. A co ty tu robisz?

– Przysłał mnie ojciec, jest na dole i czeka na ciebie.

Will, wstając z łóżka, poczuł ból i pieczenie w prawej nodze. Usiadł i podciągnął nogawkę spodni do góry. Przeraziło go to, co zobaczył. Poniżej kolana aż do kostki miał wielki czerwony ślad zaciśniętej dłoni. Odcisk nie przypominał ręki ludzkiej istoty.

Julia z przerażeniem w oczach patrzyła na chłopaka, który nie potrafił tego sensownie wytłumaczyć. Powtarzał sobie, że to był tylko sen. Po chwili spojrzał na dziewczynę.

– Nie mówmy o tym nikomu, dopóki nie znajdę jakiegoś sensownego wytłumaczenia – rzekł.

Julia spojrzała na niego zmartwionym wzrokiem, ale kiwnęła głową, zgadzając się. Wstał, zarzucił na siebie płaszcz i oboje zeszli na dół, gdzie czekał na nich ojciec dziewczyny.

– Proszę ze mną, panie Willu, udamy się do ratusza, gdzie czeka już na pana Srebrnoręki. Wyszli z gospody i skręcili w lewo. Po paru krokach

ich oczom ukazał się mały mostek, najpiękniejszy i chyba najdroższy, jaki chłopak widział w całym swoim życiu. Robert Piwosz spojrział na niego.

– Tak, jest piękny. Każdy jego element zrobiono z czystego srebra.

Will, przechodząc przez mostek, nie był świadomy, że kroczy po fortunie, za którą mógłby kupić Cztery Wieże na własność i jeszcze sporo by mu zostało.

– Do kogo należy? – zapytał.

– Do wszystkich.

– Do wszystkich? Jest taki piękny, świecący i zadbany, że musi mieć jakiegoś właściciela – stwierdził chłopak.

– Otóż nie. Widzi pan, to jest prezent dla miasta.

– Prezent? Kto stawia tak wspaniałą konstrukcję jako prezent dla miasta? – zdziwił się Will.

– Założyciel Srebrzystej Polany, pierwszy hodowca srebra. On przywiózł nasiona tego metalu w nasze rejony z dalekich krain i on nauczył tutejszych ludzi jego uprawy.

– Któż to taki, jeśli można wiedzieć?

– Tom Fasolka. Ale tutaj jest bardziej znany pod innym imieniem. Nazywamy go Panem Srebra.

– Pan Srebra – zamyślił się chłopak.

– Tak – przytaknął Robert. – Pan Srebra! – powtórzył z taką radością i czcią, aż zatracił się i patrzył ślepo w dal, nie zwracając uwagi na gościa.

– Mhm... – delikatnie chrząknął Will i z grzeczności postanowił poczekać, aż jego rozmówca znajdzie odpowiednie drzwi i wróci do rzeczywistości, w której prowadzi pogawędkę z przedstawicielem Gildii Detektywistycznej w drodze do ratusza.

– Oj, przepraszam pana, zamyśliłem się.

– Nic nie szkodzi. Widzę, że Pan Srebra jest dla pana kimś ważnym.

– Dla mnie? Och, nie. Ale dla tutejszej ludności owszem. Ja go po prostu podziwiam.

– A za co, jeśli wolno wiedzieć?

– Wolno, lecz nie w tym momencie, ponieważ za chwilę będziemy w ratuszu, gdzie czekają na pana pilniejsze sprawy.

Schodząc z mostka, wyszli na ulicę wyłożoną srebrnymi płytami prowadzącą wprost do ratusza.

– Opowiem panu wszystko później, teraz będzie pan musiał zmierzyć się ze sprawą, która dręczy mieszkańców i powoli doprowadza do nędzy oraz utraty tego, na co tak długo pracowaliśmy – rzekł właściciel gospody.

Gdy szli, Will tak zapatrzył się w piękne srebrne płyty, po których stąpał, że nie zauważył, kiedy wyrósł przed nimi wielki budynek ratusza. Frontowa brama przypominała wielkością bramę obronną warowni lub zamku, była ogromna i masywna, ale coś ją jednak odróżniało od pozostałych. Była arcydziełem, którego nie powstydziliby się żaden król, władca czy też spadkobierca, gdyby była jego własnością. Wykonana była oczywiście ze srebra, a po obu stronach miała piękne rzeźby ręcznie zrobione na specjalne zamówienie. Na lewym skrzydle znajdowały się postacie rolników siejących srebro, na prawym zaś ci sami ludzie dzięki plonom srebra przemieniali się w bogaczy i układali ogromne stosy monet. Pod furtką przywitał ich gruby i niski mężczyzna. Miał krótkie siwe włosy, skórzany pas z piękną, srebrną kłamrą, który podtrzymywał mu spodnie, i ogromny brzuch. Mężczyzna był

tak wielki, że z daleka wyglądał jak olbrzymia skórzana piłka, ponieważ nosił tylko skórzane odzienie.

– Witaj, Teodorze – odezwał się Robert. – Oto pan Will z Gildii Detektywistycznej. – Wskazał na chłopaka.

– Witam szanownego pana. Nazywam się Teodor. Jestem miejscowym przedstawicielem prawa. Mam nadzieję, że pomoże mi pan rozwiązać zagadkę tych straszliwych zbrodni.

– Miło mi pana poznać – odpowiedział z szacunkiem Will. – O jakich zbrodniach pan mówi?

– Nie tutaj. Porozmawiamy w środku. Pozwolą panowie za mną.

S skierowali się do budynku, lecz przed głównym wejściem Teodor skręcił w prawo i podszedł do malutkich drzwiczek ukrytych w ścianie. Tak naprawdę drzwi były normalnych rozmiarów, ale w sąsiedztwie tak potężnej bramy wydawały się niewielkie i praktycznie niedostrzegalne. Grubas wyciągnął zza pasa srebrny klucz i otworzył drzwi. Z przedostaniem się przez nie do środka miał niemały problem, ale ostatecznie sobie poradził, obracając się bokiem. Śmiał się przy tym głośno, odwracając w ten sposób uwagę od czasu, jaki mu zajęła przeprawa przy wejściu.

– I po co tyle hałasu? Wystarczyłoby, żeby schudł i zajął się patrolowaniem naszych ziem, a nie siedział cały czas w strażnicy i obżerał się dziczyzną – mruczał pod nosem Robert.

Znaleźli się na dziedzińcu, gdzie czekało na nich dwóch mężczyzn. Jeden był ubrany w dostojne srebrne szaty z elementami złota, drugi zaś w szaty czarne. Ten ostatni trzymał w lewej dłoni dużą skórzaną torbę, a twarz miał tak bladą, jakby co najmniej od miesiący nie wychodził z piwnicy. Podeszli do nich.

– Jesteście wreszcie! To musi być nasz przyjaciel z Gildii Detektywistycznej, żeby nam pomóc w tych trudnych czasach. Nazywam się Jan Srebrnoręki i to ja zwróciłem się do gildii z prośbą o pomoc. To jest Grabarz. – Wskazał na swojego kompana. – Jest miejscowym grabarzem i tak też go tutaj nazywamy.

Przedstawiony mężczyzna skinął głową, nie odzywając się ani słowem.

– Witam panów – odpowiedział grzecznie chłopak. – Bardzo mi miło. Nazywam się Will i jak pan zauważył, zostałem tu przysłany z Czterech Wież, choć nie bardzo jeszcze wiem, jakie mam tutaj zadanie do wykonania. Wszyscy mówią o jakichś okropnościach, ale jak dotąd nie dowiedziałem się niczego konkretnego.

– Za chwilę wszystko się wyjaśni. Musimy zejść do piwnic ratusza, w których znajdzie pan odpowiedzi na wszelkie pytania – oznajmił radny.

Wszyscy przeszli przez dziedziniec, aż doszli do schodów prowadzących do piwnic. Przodem szedł Jan, który miał klucze od zamków. Zeszli na dół i przeszli przez stare drewniane drzwi, które doprowadziły ich do długiego piwnicznego korytarza. Panował w nim półmrok, a jedyne światło, które go rozjaśniało, pochodziło z uchylonych drzwi gdzieś na końcu. Gdy byli w połowie drogi do nich, ich uszu dobiegł tak przeraźliwy krzyk, aż na chwilę przystanęli. Krzyk następnie przemienił się w słowa: „Bestia! Bestia!”.

Naraz wszyscy bez wyjątku pędem rzucili się w stronę drzwi, skąd dobiegał hałas. Po wtargnięciu do pomieszczenia ujrzeni dwóch mężczyzn. Jeden leżał na stole, wydając ostatnie tchnienie. Spojrzał na nich i wymamrotał: „Uciekajcie”, po czym umarł. Jego ciało było całe pokryte krwią, a twarz wyglądała, jakby wpadła pod stado wściekłych i ostrych

jak brzytwa noży. Drugi mężczyzna stał nad nim ze spuszczoną głową, zamykając mu oczy dłonią. Miał na sobie długi skórzany fartuch, cały zakrwawiony, przez co wyglądał jak rzeźnik.

– Panie Teodorze, trzeba natychmiast aresztować tego człowieka! – krzyknął Will.

– Nie trzeba – powiedział Jan Srebrnoręki, podchodząc do łysawego, podstarzałego rzeźnika. – To jest pan Lucjan, nasz miejscowy lekarz i alchemik w jednej osobie.

– Witajcie, przyjaciele – odezwał się Lucjan. – Nic nie mogłem zrobić. Odzyskał na chwilę przytomność, ale jedyne, co mi się udało z niego wyciągnąć, to krzyk i to, co słyszeliście przed chwilą.

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co się tutaj dzieje i dlaczego ten mężczyzna nie żyje? – zapytał skonfundowany Will.

– Rozwiązanie tej zagadki to pana zajęcie, w końcu po to gildia tu pana wysłała. Jednak zanim opowiemy o naszym problemie, myślę, że powinien pan to zobaczyć. – Jan podszedł do zamkniętych drzwi. – Uprzedzam, to może być szok, chociaż pan w swoim fachu widział pewnie już nie takie rzeczy. – Otworzył je i wszedł do środka, a chłopak ruszył za nim.

Will zaniemówił sparaliżowany widokiem, jaki tam zobaczył. W pomieszczeniu po lewej stronie, przy ścianie, leżało siedem ciał przykrytych prześcieradłami, które już dawno straciły swoją biel przesiąknięte krwią ofiar. Było tutaj dosyć jasno, zapewne dlatego, że nad każdym ciałem z niewiadomych dla chłopaka przyczyn została zapalona jedna pochodnia. Przyjrzał się im przez chwilę. Były identyczne. Każdą z nich zrobiono ze srebra i każda miała na przodzie ręcznie wykonaną

postać chłopca trzymającego worek z ziarnami tegoż metalu w prawej dłoni.

– Zaczniemy od początku – powiedział Will, próbując ukryć swoje przerażenie. – Może mi szanowny pan wytłumaczyć pokrótce, z czym się tu zmagacie i w czym ja mogę pomóc?

– Może przejdźmy na górę. Napijemy się czegoś mocniejszego na nerwy i postaram się panu powiedzieć, co wiem – zaproponował radny.

– Zgadzam się. Myślę, że po opuszczeniu tego pomieszczenia będzie mi łatwiej zebrać myśli i przeanalizować informacje, jakie od was usłyszę – potwierdził chłopak.

Wszyscy udali się na górę, czując ulgę po wyjściu na powietrze. No może poza Grabarzem, który wyglądał, jakby nic nie odczuwał. W holu ratusza Will przystanął na chwilę, przyglądając się posągowi chłopca trzymającego w prawej dłoni worek z ziarnami srebra, lewą dłonią zaś wskazywał na ogromny monument stojący tuż obok. Posąg ten był dwa razy większy od swojego sąsiada i przedstawił postać dumnego mężczyzny otoczonego przeróżnymi bogactwami.

– To jest Tom Fasolka – powiedział Robert, wskazując na pomnik.

– Ten drugi to Pan Srebra.

– Czy to nie ta sama osoba?

– Tak – odpowiedział Jan. – Ale z różnych okresów jego życia. A teraz zapraszam do sali obrad.

Przeszli do pomieszczenia, w którym stał ogromny dębowy stół ze srebrnymi okuciami. Zamiast normalnych nóg stół o kształcie prostokąta miał cztery ogromne łapy niedźwiedzia. Przy nim znajdowało się dwanaście krzeseł, także dębowych ze srebrnymi ozdobami i okuciami

u nóg. Srebrnoręki wyciągnął z wielkiej ręcznie rzeźbionej dębowej szafy szklanki i butelkę whisky, po czym nalał każdemu do połowy. Wszyscy wypili po łyku i tylko Will się lekko zakrztusił.

– Mocne – powiedział.

– Ostatnie dziesięć lat przeleżała w piwnicach tego budynku. Zaledwie trzy miesiące temu wyciągnęliśmy ją z Panem Srebra, akurat dzień przed początkiem ataków.

– Ataków? – spytał chłopak.

– Tak... ataków. Widzi pan, wszystko zaczęło się trzy miesiące temu, po powrocie Pana Srebra z dalekich krain. Przy każdej pełni zbiorów pojawiały się ataki na zbieraczy i niestety wszyscy ginęli.

– Pełnia zbiorów? Ataki na zbieraczy? A co zbierają, jeśli można wiedzieć? I kto atakował?

Zapadła cisza, a oczy obecnych w sali skupiły się na przedstawicielu gildii, który skrępowany tą sytuacją wziął porządnego łyka whisky, po czym odchrząknął parę razy, próbując złapać oddech.

– Co pan wie o Srebrzystej Polanie? – spytał w końcu Srebrnoręki.

– Właściwie to niewiele.

– Dobrze, więc postaram się to panu wyjaśnić. Otóż tutejsza ludność zajmuje się uprawą srebra. Jest to idealna kraina na taką hodowlę, ponieważ metal ten można zbierać tylko w idealną noc pełni, a u nas taka noc występuje co trzy dni. Trzy miesiące temu na zbieraczy, to znaczy ludzi specjalnie szkolonych do tego typu zbiorów, zaczęły się ataki.

– Kto ich atakował? – zapytał Will.

– Tego nie wiemy. Wszystkich zbieraczy następnego dnia znajdowaliśmy martwych – odpowiedział zmartwiony Jan.

– Ba! Żeby tylko byli martwi – wtrącił Teodor. – To była masakra!

– Jak to? Nie rozumiem. Panie Srebrnoręki, zastanawia mnie jeszcze jedno. Skoro powiedział pan, że jest to jedyna grupa odpowiednio szkolona do zbierania srebra, jak to możliwe, że po pierwszym ataku nastąpiły kolejne? Przecież wszyscy zginęli – zapytał z powagą Will, lecz tak naprawdę po głowie chodziło mu słowo przed chwilą wypowiedziane przez lokalnego przedstawiciela prawa. Masakra – chłopak powtórzył to w myślach jeszcze parę razy, zanim do jego uszu dotarły słowa radnego.

– Panie Willu? – Jan starał się zwrócić jego uwagę.

Will spojrział na niego wzrokiem osoby dopiero co wybudzonej ze snu, nie bardzo rozumiejącej, co się dzieje dookoła.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Zbieracze, aby uzyskać najczystsze srebro, muszą używać specjalnej techniki, która wymaga od nich sporych zasobów energii. To pozwala im pracować tylko dwa razy w miesiącu, dlatego mamy w Srebrzystej Polanie kilkanaście grup zbieraczy, żebyśmy mogli wykorzystać wszystkie noce w miesiącu. Po dwóch atakach zbieracze nie chcieli wychodzić, to zrozumieli, ale bez srebra nasze miasto zaczęło tonąć w długach. Postanowiliśmy, jako rada miasta, wynająć najemników do ich ochrony. Niestety nic to nie dało, ponieważ najemników też znaleźliśmy martwych.

– Nie martwych – odezwał się Grabarz. – To, co zbieram na polach i chowam w ziemi, to resztki, jakie pozostały po martwych ludziach.

– Nie! – krzyknął Robert. – Co ty, do cholery, gadasz?! Resztki?! Mam powiedzieć mojej córce, że w grobie zamiast jej matki leżą resztki? Powiedz mi?!

– Uspokój się, Robercie – powiedział Jan, podchodząc do niego i kładąc na jego ramieniu rękę. – A ty zważaj na słowa, Grabarzu. To są... byli ludzie i nimi pozostaną.

– Ja tylko stwierdzam fakt – odpowiedział chłodno i bez emocji na twarzy.

– Nie pora teraz na kłótnie. Napijcie się i uspokójcie. Panie Willu, jak pan widzi, nasza sytuacja jest coraz gorsza – zwrócił się radny w stronę chłopaka. – Musi pan wiedzieć, że jest pan naszą jedyną nadzieją. Otóż zwróciliśmy się do gildii z dwoma problemami. Po pierwsze: chcemy, żeby pan spróbował odnaleźć Pana Srebra. Zaginął po pierwszym ataku i nikt nie widział go od tamtej pory. Z tego, co zdołał ustalić Lucjan, jego ciała nie było wśród szczątków ofiar pierwszego ataku. Po drugie: chcemy, żeby ustalił pan, kto stoi za tymi atakami i w miarę możliwości zlikwidował sprawcę lub sprawców, bo raczej wątpię, by stała za tym jedna osoba.

– Po tym, co zobaczyłem na statku, tutaj już nic mnie raczej nie zdziwi – powiedział sam do siebie. – Będę potrzebował do pomocy kogoś znajomego miasto i będę chciał jeszcze raz zejść na dół, żeby zobaczyć ciała i porozmawiać z panem Lucjanem, ale najpierw chciałbym dowiedzieć się coś więcej o zniknięciu Pana Srebra. – Tym razem zwrócił się do wszystkich.

– Oczywiście, służymy wszelką pomocą. Teodor będzie pomagał panu w poszukiwaniach. A wracając do Pana Srebra, jak już mówiłem wcześniej, zaginął po pierwszym ataku. Oczywiście szukaliśmy go, żeby opowiedzieć mu o tym, co się stało tamtej nocy, lecz nigdzie nie mogliśmy go znaleźć. Nie martwiliśmy się zbyt o niego, ponieważ często gdzieś znikał i po tygodniu czy dwóch wracał, by opowiedzieć nam

o swoich przygodach i miejscach, które odwiedził. Jednak tym razem jest inaczej, minęły już ponad trzy miesiące, a jego nadal nie udało się zlokalizować. Zarówno wśród żywych, jak i wśród martwych.

– A gdzie i dlaczego Pan Srebra zniknął od czasu do czasu?

– Dobre pytanie – uśmiechnął się Jan. – Tego, gdzie tak naprawdę zniknął, do końca nie wiemy. Opowiadał nam tylko o swoich przygodach, miejscach, które odwiedził, i bestiach, jakie spotkał. Oczywiście tylko dzieci wierzyły w te bajki o stworach i dalekich krainach. Mnie się wydaje, że wydawał swoje bogactwa na różne przyjemności i podróże.

– Jak zdobył bogactwo?

– To bardzo długa historia, a ja mam swoje obowiązki i nie mogę poświęcić panu aż tyle czasu. Teodor zaprowadzi pana do piwnicy, gdzie będzie pan mógł obejrzeć zwłoki i porozmawiać z Lucjanem. Ja na razie pana opuszczę, bo choć czasy trudne to obowiązki pozostają obowiązkami i nikt ich za mnie nie wypełni.

Srebrnoręki wyszedł z sali, a zaraz za nim wstał i bez słowa pożegnania z kamiennym wyrazem twarzy pomieszczenie opuścił Grabarz. Po chwili milczenia Will i Teodor natomiast udali się do lochów, gdzie Lucjan właśnie zabierał się do upuszczenia krwi ze świeżego trupa.

– Nie! – krzyknął Will. – Niech pan niczego nie robi. Chcę najpierw zbadać zmarłego.

– W jakim celu? – spytał Lucjan zdziwiony obecnością gości. – Już stwierdziłem zgon. Może mi pan wierzyć, że ten człowiek jest martwy.

– Wierzę panu, ale czyniąc to, co pan zamierzał, zniszczy pan ślady, jeżeli jakiegokolwiek pozostały. Muszę go dokładnie obejrzeć. I resztę zwłok w sąsiedniej sali również, jeżeli to możliwe.

– Oczywiście! Służymy wszelką pomocą – powiedział Teodor.

– Jeśli wolno mi coś zasugerować, proponuję udać się do domu – zaproponował Lucjan. – Zaraz się ściemni, a lepiej nie poruszać się po zmroku, gdy grasują mordercy. To muszą być brutalni zawodowcy i jest ich co najmniej kilkunastu, ponieważ moim zdaniem jeden człowiek nie siałby takiej masakry niezauważony. Dawno już by go zabili najemnicy wynajęci do ochrony zbieraczy. Dlatego uważam, że musi to być dobrze zorganizowana grupa. Tylko dlaczego nie czekają, aż zbieracze pozyskają żywe srebro?

– Mam nadzieję, że niedługo się tego dowiemy – powiedział Teodor, spoglądając na Willa. – Jednak na razie Lucjan ma rację i powinniśmy wrócić do domu. Zatrzymał się pan w gospodzie Srebrzysty Kociołek, tak?

– Tak – odpowiedział chłopak.

– Wspaniale! – odpowiedział Teodor. – Zjawię się u pana o świcie i zaczniemy od miejsca, które pan wyznaczy.

– Zgadzam się, może tak będzie lepiej. Muszę wszystko sobie dobrze poukładać. Proszę już niczego dzisiaj nie robić – zwrócił się do Lucjana. – I wstrzymać się ze wszystkimi czynnościami do jutra. Rozgryzienie tego zajmie mi trochę czasu i nie zaszkodzi przestudiować informacji, jakie od was uzyskałem, chociaż jestem pewien, że jest to tylko ziarnko piasku z wiedzy, jakiej będę potrzebował do rozwiązania tej zagadki.

We trzech udali się na górę, gdzie w sali obrad siedział samotnie zamyślony Robert Piwosz. Na widok Willa, Teodora i Lucjana zerwał się na równe nogi. Wszyscy podeszli do niego, po czym detektyw

i właściciel gospody po symbolicznym pożegnaniu pozostałych obecnych poprzez uścisk dłoni oddalili się do gospody. Tam czekała na nich Julia z kolacją, a konkretniej mówiąc, z pieczonym ptakiem podobnym do bażanta i pajdą świeżo upieczonego chleba, który przygotowywała na szczególne okazje.

BRODACZ OKRUTNY

Will stał nad urwiskiem, dookoła panował mrok. Ręce trzęsły mu się z przerażenia i strachu. Nagle sobie przypomniał, że już był w tym miejscu. Gdy... uciekał. Właśnie. Uciekał, ale przed czym? W jednej chwili stanął jak zamurowany, a jego całe ciało zeszywniało na dźwięk głosu, jaki usłyszał za swoimi plecami.

– Chłopcze, dlaczego drżysz?

Will nadal stał nieruchomo. Nagle poczuł na swoim lewym ramieniu ucisk czegoś przypominającego łapę jakby niedźwiedzia, tyle że trzy razy większą. Ktoś obrócił jego ciało, zupełnie jakby był marionetką, które widział w Czterech Wieżach, gdy był jeszcze młody. Ujrzał ogromną postać, znacznie przewyższającą go wzrostem, lecz nie na tyle wyraźną, by nadać jej nazwę. Postać ta była odziana w swego rodzaju płaszcz utkany z mroku i cienia. Dwa ślepiea niczym dwie pochodnie wpatrywały się w chłopaka, po czym do jego uszu dobiegł głos gruby i donośny jak stado lwów ryczących w jaskini.

– Nie lękaj się, chłopcze, nie zrobię ci krzywdy – powiedział głos, po czym Will poczuł ulgę puszczającego go uścisku.

– Kim jesteś i czego ode mnie chcesz? – spytał z przerażeniem w oczach i bólem po lewej stronie klatki piersiowej w miejscu, gdzie

przed sekundą ciążył na nim ogromny ciężar istoty nieznanego mu dotąd ani z bajek, ani z książek, jakie studiował na Uniwersytecie w Czterech Wieżach.

– Jestem tobą, a ty mną. Razem żyjemy i razem umrzemy. Tylko my możemy pomóc sobie nawzajem. Ty możesz uwolnić mnie, a ja mogę uratować ciebie – przemówił cię wpatrujący się w chłopaka.

W tej sekundzie chłopak przypomniał sobie ostatni sen. Teraz znajdował się w tym samym miejscu, z którego ostatnio skoczył bez chwili wahania, uciekając przed bestią, która go gonila.

– Chłopcze! – przemówił znowu cię. – Nasze żywoty są połączone i zależne od siebie nawzajem. Kiedy to wreszcie pojdziesz?

Will pojął jednak coś zupełnie innego. Przypomniał sobie, jak uniknął pogawędki z tym nienazwanym monstrum ostatnim razem. Bez chwili wahania, obróciwszy się o sto osiemdziesiąt stopni, rzucił się w przepaść. Spadając, ujrzał to samo blade światelko, co ostatnim razem. Wpadając w nie, usłyszał głos Julii nawołujący z bliżej nieokreślonej przestrzeni.

– Will! Will, jesteś tam?!

Otworzył oczy. Leżał na łóżku w pokoju, który wynajmował od Piwosza w Srebrzystym Kociółku. Leżał przez chwilę, wpatrując się w sufit, gdy nagle stukot do drzwi i nawoływanie Julii wybiło go ze stanu chwilowej nieświadomości.

– Will, jesteś tam? Wszystko w porządku? Odezwij się! – wołała Julia, pukając.

– Tak, jestem – odpowiedział po chwili, gdy tylko wróciła mu sprawność umysłu. Czuł ból z lewej strony klatki piersiowej, tak dotkliwy, że postanowił zdjąć koszulkę i przyjrzeć się temu bliżej w lustrze wiszącym

obok łóżka tuż nad niewielką umywalką. Zaczął się zastanawiać, dlaczego Julia budzi go w środku nocy.

Wstając z łóżka i przecierając oczy, zadał pytanie, powoli stawiając pierwszy krok ku umywalce:

– Czy coś się stało? – spytał. – Dlaczego budzisz mnie w środku nocy?

– Will, jest wcześnie rano. Przybył pan Teodor i wraz z ojcem jedzą na dole śniadanie. Posłali mnie po ciebie, macie zaraz wyruszyć na pola srebra.

– Tak, pamiętam. Już schodzę.

Podszedł do lustra i z przerażeniem w oczach wpatrywał się w wielki czerwony ślad łapy odcisnięty na lewym ramieniu.

– Co, do cholery? – spytał sam siebie.

Podciągnął nogawkę od spodni i spojrzał na pociemniały już ślad, pozostały po ostatnim przebudzeniu z koszmaru. Ubrał się powoli, ponieważ ból w tych miejscach okazał się nieco dotkliwy.

Tylko jak to możliwe? Jakim sposobem sen przeobraził się w rzeczywistość? Dlaczego odczuwam ból, skoro to był tylko sen? – myślał Will, gdy schodził na dół. Przy jednym ze stołów czekali na niego Teodor i Robert, dyskutując o czymś. Przywitawszy się, usiadł do stołu. Julia podała mu śniadanie i posłała w jego stronę delikatny uśmiech, co sprawiło pojawienie się na obu policzkach chłopaka małych, czerwonych plamek, na których widok dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

– Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie zacząć od miejsca, gdzie się to wszystko rozpoczęło, czyli od pola srebra. Co pan na to? – zaczął Teodor.

– Tak. Myślę, że to bardzo dobry pomysł – odpowiedział detektyw. – Możemy zaraz wyruszyć, tylko muszę wziąć parę rzeczy niezbędnych do prowadzenia śledztwa. Czy uda się pan z nami? – spytał Roberta.

– Nie, muszę pilnować interesu, ale po południu służę ciepłym posiłkiem.

Will skinął głową na znak przyjęcia propozycji i udał się na górę. Wsunął spod łóżka kufer, który otrzymał od Kompasza na swoją pierwszą misję i zajrzał do środka. Na wierzchu leżała gazeta złożona na pół, notes z czystymi kartkami, pióro i atrament oraz drugi notes pełen notatek, najprawdopodobniej ze wskazówkami. Wyciągając lupę i sztylet, natrafił dłonią na worek i od razu przypomniał sobie, co znajduje się w środku. Ciarki przeszły mu po plecach.

– Spałem z tym czymś? Z jej głową pod łóżkiem? – zapytał z przerażeniem sam siebie.

Wziął ze sobą tylko lupę, notes i sztylet. Resztę rzeczy znajdujących się w kufrze postanowił przejrzeć wieczorem. Na tę chwilę to, co wziął, powinno mu wystarczyć. Zamknął kufer i wsunął go z powrotem pod łóżko. Włożył długi czarny płaszcz i schował wszystkie przedmioty do kieszeni poza sztyletem. Ukrył go w skórzanej pochwie i przypiął sobie do lewej nogi, trochę powyżej kostki, po czym zakrył broń nogawką. Na dole przy drzwiach czekał już Teodor.

Udali się na wschód Srebrzystej Polany. Szli w milczeniu, mijając kilka brukowanych srebrem uliczek.

– Panie Teodorze, chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o Panie Srebra. Skąd to imię? Pan Robert wspomniał w holu ratusza jeszcze jedno imię, o ile dobrze pamiętam, Tom Fasolka. – Will szedł dalej w milczeniu, czekając na odpowiedź.

– Tom Fasolka i Pan Srebra to jedna i ta sama osoba. Tom był synem rolnika mieszkającego w Srebrzystej Polanie. Oczywiście w tamtych

czasach była tu osada rolnicza o nazwie Kamień. Kilku rolników osiedliło się w niej wraz z rodzinami, oczyszczając teren z kamieni oraz skał i przekształcając tę ziemię w żyzne pola. Żyło im się nawet nieźle do czasu, gdy władca tego terenu, Brodac Okrutny, jak go nazywali jego poddani, zaczął widzieć korzyści w tym zapomnianym przez niego kawałku ziemi. Zażądał zapłaty za zniszczenia, jakie według niego uczynili rolnicy. Narzucił im tak niewyobrażalnie wielkie podatki, że raj zaczął się zmieniać w rozpacz i biedę. Pewnego dnia Tom Fasolka, widząc, że jego rodzinie zaczyna brakować jedzenia dla wszystkich, postanowił wyruszyć w świat. Zostawił list, w którym napisał, że pewnego dnia tu powróci i odkupi całą tę ziemię z łap Brodacza.

– Brodac Okrutny? – zainteresował się chłopak.

– Kiedyś, gdy ten teren nie był jeszcze własnością Pana Srebra, rządził tu władca z pewnym kompleksem. Otóż nie miał on zarostu. Mimo średniego wieku wyglądał bardzo młodo. Inni władcy śmiali się z niego i żartowali, że jego jedynym zarostem było mleko matki, które zostało mu pod nosem po karmieniu. Fakt ten wyhodował w jego piersi czarne i twarde jak skała serce, które wywołało w jego głowie chorobliwą zazdrość i szaleństwo. Oszalał tak bardzo, że rozkazał pojmać wszystkich, którzy posiadali bujny zarost, po czym kazał im go ściąć, a następnie wydał przyjęcie i zaprosił na nie wszystkich władców, którzy wcześniej się z niego naśmiewali. Oczywiście goście przybyli z bujnie wyhodowanymi brodami, specjalnie zapuszczonymi na wieczór u Brodacza Okrutnego. Przydomek ten otrzymał on właśnie wtedy. Gości posadzono po jednej stronie długiego stołu, po drugiej zaś samotnie siedział gospodarz, by dokładnie widzieć wszystkich. Rozpoczęli ucztę. Do sali wniesiono

potrawy na złotych tacach z wielkimi złotymi pokrywami, tak by goście nie widzieli, co będzie im serwowane. Na skinienie gospodarza podniesiono pokrywę, a na twarzach zgromadzonych w jednej chwili pojawiło się zdziwienie i przerażenie. Zaraz jednak potraktowano to jako żart i śmiech zagościł u wszystkich obecnych wpatrujących się w tace pełne zarostu.

– Zarostu? – zdziwił się Will.

– Ano zarostu. Kiedy goście kiwali się na krzesłach ze śmiechu, za ich plecami ustawili się najemnicy wynajęci specjalnie na tę okazję. Słyszeli oni ze swej okrutności. Gospodarz życzył wszystkim smacznego, a gdy goście wybuchnęli jeszcze większym śmiechem, najemnicy złapali ich za głowy i przystawiając noże do gardeł, zaczęli im wciskać zarost w usta. Władcy dusili się zarostem. Kiedy wreszcie przestali oddychać, najemnicy z rozkazu gospodarza obcięli im głowy i powiesili je za brody na murach obronnych, żeby każdy odwiedzający zamek nie odważył się przekroczyć jego murów bez wcześniejszego odwiedzenia golibrody. Podobno ktoś widział, jak po tamtych wydarzeniach król paradował z przyczepioną sztuczną brodą wykonaną z owczej sierści. Od tamtej pory ludzie nadali mu nowe imię: Brodacz Okrutny. Tom natomiast, tak jak obiecał w liście swoim rodzicom, powrócił z torbą pełną nasion, które przyniosły mu wielkie bogactwo. Brodacz dostał więc tyle gór srebra, ile tylko zażądał i zgodził się oddać panowanie nad tym kawałkiem krainy Tomowi, nazywając go Panem Srebra.

– Co się z nim stało? Z Brodaczem? – spytał Will.

– Słyszałem, że oszalał na punkcie swojego skarbcza wypchanego po sufit srebrem i spędza tam całe dnie, w ogóle stamtąd nie wychodząc. Siedzi tylko i codziennie od nowa przelicza skarby co do jednej srebrnej monety, sprawdzając, czy czasem nikt go nie okradł.

– Co to za nasiona, z którymi powrócił Tom? I skąd je wziął?

– Zadaje pan dużo pytań.

– Taki zawód. Bez pytań nie uzyskam potrzebnych informacji.

– To były nasiona srebra. Tom po powrocie założył szkołę i zaczął uczyć ludzi techniki jego zbierania. Jednak okazała się bardzo trudna i tylko nieliczni zdołali ją opanować. Skąd Tom miał nasiona i gdzie się nauczył zbierania srebra, tego nigdy nie wyjawiał. Trzymał ten sekret tylko dla siebie jak swój największy skarb i chociaż nieraz oferowano mu różne bogactwa i usługi, nigdy nie udało się go przekonać.

Szli kawałek w milczeniu i zadumie, gdy doszli do niewielkiej bramy wykonanej ze srebra, z wyrzeźbionymi zbieraczami pracującymi na polu po obu stronach bramy.

– Ta brama przeznaczona jest dla zbieraczy, za nią znajdują się pola srebra. Udają się tędy podczas pełni na pola i tą samą drogą powracają rankiem z wozami żywego srebra. Przynajmniej tak było do tej pory. Zawsze wracali – powiedział ze smutkiem w głosie Teodor.